

6 - 7 Października 2007, Biebrza: Goniądz – Rutkowskie, 52,5 km.

Spływ pożegnalny

Znowu Biebrza? Tak zdziwiła się moja Mama, gdy dowiedziała się, jakie mamy plany na weekend. Tak, to prawda, znowu Biebrza!, ale ja nigdy nie płynąłem Biebrzy jesienią! Tak wyszło, że tej wiosny spędziliśmy na Biebrzy tylko pół dnia, który kończył 3 dniowy wiosenny spływ Netta, pozostaliśmy więc w pewnym niedosycie. Jesień to z oczywistą pewnością nie jest wiosna, także na Biebrzy, trudno jest oczekiwać ptasiej hysterii, trudno jest liczyć na wielką wodę, na widoki biebrzańskich przestrzeni, skoro woda niska a trzcina wysoka. No więc niczego takiego nie oczekiwaliśmy, poza ciszą i spokojem.

W sobotni całkiem ciemny poranek przywitał nas deszcz, wstawało i zbierało się nam wyjątkowo ciężko, potem wpakowaliśmy się jeszcze w okrutny korek na niespodziewanie remontowanej warszawskiej ulicy Jagiellońskiej, w efekcie ruszyliśmy z łódkami na dachu z półtoragodzinnym opóźnieniem. Po drodze stanęliśmy jeszcze na kawkę, a przy leśniczówce w Laskowcu po parkowe karty wstępu i wodowaliśmy przed mostem w Goniądzu dopiero o godzinie 13.00, logistykę samochodową zostawiając sobie na niedzielne popołudnie. Mimo deszczowego lata nie spodziewałem się wiosennie wysokiej wody, ale od razu zauważyliśmy że mamy do czynienia ze stanem przyzwoicie wysokim, a nie typowo letnim. Mimo, że pogoda ustabilizowała się na pochmurną obaj z Leszkiem załadowaliśmy na korpusy naszych aparatów obiektywy 300 mm, powód jest prosty, przynajmniej ja mam z Biebrzy już na składziku kilkaset, mniej lub bardziej ciekawych i udanych slajdów, interesuje mnie właściwie tylko łoś, no łoś - ewentualnie bóbr, łasica, wydra, norka, żuraw, orzeł, czy jakikolwiek inny mieszkaniec tych bagien, choćby mysz wodno bagienna ;-). Do mostu w Osowcu mamy 8 km i po krótkim rozgrzaniu popłynęliśmy nieco szybciej, jak by próbując nadrobić stracony czas, zwalniając dopiero w okolicach „naszego” starorzecza, na 3 km przed Osowcem, coby zerknąć na miejsce, gdzie zwykle obozujemy¹, gdy płyniemy ten odcinek startując z Dolistowa. Za mostem w Osowcu nieco zwolniliśmy, by móc się nacieszyć otaczającą nas dziczą, o godzinie 16.30 wylądowaliśmy na Białym Grądzie, zaznawszy przy tym ukojenia ducha i ciała.

Przestało padać rześście, ale nadal siorpiło małe co nieco i za pomysłem Leszka, który to pomysł szybko poparła Iza, założyliśmy obóz na biało grądzkiej widokowej wieży. Rozbiliśmy (oczywiście bez przypinania) namioty z zachowaniem miejsca kuchennie bankietowego oraz niezbędnych szlaków komunikacyjnych i po krótkiej i jak się przy zastanym świetle można było spodziewać - nieudanej sesji zdjęciowej, przystąpiliśmy do przygotowywania kolacji. A kolacja była jeszcze lepsza, niż na poprzednim spływie - Orzycem, bowiem dzięki Izuli, podsmażaną kiełbasę do makaronu zastąpiliśmy mielonymi kotlecikami. Dodam, że wieża była oczywiście zadaszona, zaś w dachu były widoczne jeszcze za dnia dziury, które wzięliśmy pod uwagę planując rozkład naszego obozu. Niestety, podczas już spożywania kolacji zerwał się wiatr i lunął deszcz, no i ten wiatr z deszczem zaciął z boku i całe to planowanie względem dziur w dachu diabli wzięli, ale daliśmy sobie z tym radę, a deszcz okazał się co prawda gwałtowny, ale krótkotrwały. Niemal tak gwałtownie, jak nas zaskoczył, a potem ustąpił deszcz, tak szybko i nagle rozgwieździło się nad nami niebo i znów zakrzyczały żurawie. Ich słyszalny, zapewne ogromny i odlotowy już obóz był

¹ Zwykle Biebrzę robimy w układzie 3 dniowym, górę z Lipska do Dolistowa, lub dół z Dolistowa do Rutkowskich, lub Grądów Wonieckich na Narwi. Miejsce, o którym mowa znajduje się poza granicami parku, więc nie mogę powiedzieć.

raczej daleko od nas, ale pojedyncze rodziny przelatwały krzycząc tuż nad nami dość często. Ach te długie jesienne wieczory, posłuchawszy trochę tej bagiennej orkiestry przed godziną 22 udaliśmy się na nocny odpoczynek, który trwał do godziny 7.00,

Nowy dzień – nowy punkt! Łosia dostrzegłem ja! Po drugiej stronie rzeki, niestety przy tym oświetleniu i odległości tyle było naszego, że mogliśmy sobie popatrzeć. Zauważyłem też ubytki w drzewach na Białym Grądzie, przykra sprawa, ale nastąpiło zubożenie krajobrazu, z daleka trudno było ocenić, czy to za sprawą bobra czy człowieka. Nie jestem pewien, czy są tam jeszcze drzewa z dwóch załączonych zdjęć wiosennych (widać po wodzie, że wiosna), z całą pewnością nie ma już tego na pionowym zdjęciu z roku 2004. Zjedliśmy śniadanko, zwinęliśmy się i parę minut przed godziną dziesiątą zeszliśmy na wodę. Na odcinku między Białym Grądem a Brzostowem woda momentami była niemal na równi z brzegiem, tak jak czasami wiosną, gdy się spóźnimy na rozlewiska. Z czasem, koło południa chmury zaczęły się stopniowo przecierać, aż ujrzelśmy i poczuliśmy słońce, które nas już nie opuszczało aż do osiągnięcia celu naszej wycieczki. Ale zanim ten cel nastąpił mieliśmy jeszcze przyjemność oglądania ptasiego drapieżnika, prawdopodobnie był to Błotniak Stawowy, kilku kluczy gęsi oraz żurawi, w tym jeden klucz naprawdę tak olbrzymi, że mając obiektyw 100-300 mm nie byłem go w stanie objąć w całości, jedna z załączonych fotografii przedstawia jedynie jego straż tylną. Już wyglądało na to, że z fotograficznego polowania na dużego zwierza będą nici, aż tu nagle mysz! Mysz płynąca rzeką, oczywiście wpływ, nie kajakiem. Jeden wprawny ruch i mysz znalazła się na piórze leszkowego wiosła. Potem była chwila odpoczynku, czas na higienę osobistą, sesja zdjęciowa i nagły przeskok na nasz kajak, co dla nas było oczywistym sygnałem, że już czas przewieźć myszkę przez rzekę. Pozostaliśmy w nadziei, że to był ten docelowy dla myszki brzeg. Ale po tej obserwacji, jak i spotkaniu z płynącą przez litewski Neris (pol. Wilia) wiewiórką wiemy już z całą pewnością, że gryzonie pływają, całkiem nieźle. Dodatkową ciekawostką jest i to, że oba te gryzonie płynęły w poprzek nurtu. Parę minut przed godziną 14 dopłynęliśmy do Brzostowa, gdzie zrobiliśmy sobie szybki, 20 minutowy popas, zadzwoniłem do umówionego pana „taksówkarza” i zaprosiłem go na godzinę 16 do Rutkowskich, do których mieliśmy jeszcze 9 km do przepełnienia. W Rutkowskich wylądowaliśmy o godzinie 15.30, zyskując tym samym 30 minut na przebranie się i sklarowanie sprzętu. Pan przyjechał planowo i punktualnie. Za niecałe dwie godziny byłem już z powrotem z naszym autem, niestety w tym czasie na czekających na mnie Izę i Leszka spadło trochę deszczu. Załadowawszy sprzęt na auto ruszyliśmy o godzinie 18.30, w domu byliśmy parę minut po 21. Mimo, że polowanie na grubego zwierza nam się nie udało, wyjazd i tak był tradycyjnie bardzo udany.

Ach, czemu był to spływ pożegnalny?

Sam nie wiem ;-), może dlatego, że żegnaliśmy się już z gęsiami, z żurawiami, żegnaliśmy się definitywnie z latem, uświadomiliśmy sobie, że sezon ten pozostawia nam dość krótką listę weekendów, wreszcie, jeśli plany Leszka miały się spełnić, to miał być jego ostatni spływ Chiquitą².

Maczek, Warszawa, 16.10.2007

² Chiquita pojechała ostatecznie do AKK Panta Rei w Poznaniu <http://pantarei.put.poznan.pl/>